

Gawędziarz z kosmosu

Grzegorz Walenda

„Wojna czarnych jastrzębi lub jak zniszczyć całą cywilizację i mimo to czuć się dobrze następnego ranka (...)” to nie fragment dłuższego tekstu, ale tytuł piosenki. Właściwie tylko połowa. Autor utworu, wydane go na jednym z najlepszych albumów pierwszej dekady XXI wieku, na pewno nie należy do tuzinkowych. A wygląda jak facet z sąsiedztwa. Nic dziwnego, że nie od razu rozpoznałem go w barze Teatru Polskiego, parę minut przed jedynym tegorocznym koncertem w środkowo-wschodniej Europie.

Sufjan Stevens nie może być z tej planety. Niby mieszka w skromnym apartamencie na Brooklynie i ma próby w spartańskim studiu na czwartym piętrze starego magazynu, ale mimo to potrafi na scenie stworzyć spektakl porównywalny rozmachem z broadwayskimi musicalami. Muzyka jest wyrafinowana i łączy rozmaite style. Dominują folk i rock, ale obecne są też

country, hip-hop, a nawet jazz. Ostatnio wszystko skąpane w elektronice. „Kupiłem sobie drogi analogowy syntezator – zdradza muzyk – i zabawiam się, tworząc dźwięki”. Stevens dodaje, że najbardziej pociągają go brzmienia z innych światów. A nie mówiłem?

Debiutanckie „A Sun Came” (2000) było jeszcze folkowe, choć nie do końca gitarowe. Z balladowymi melodiami są-

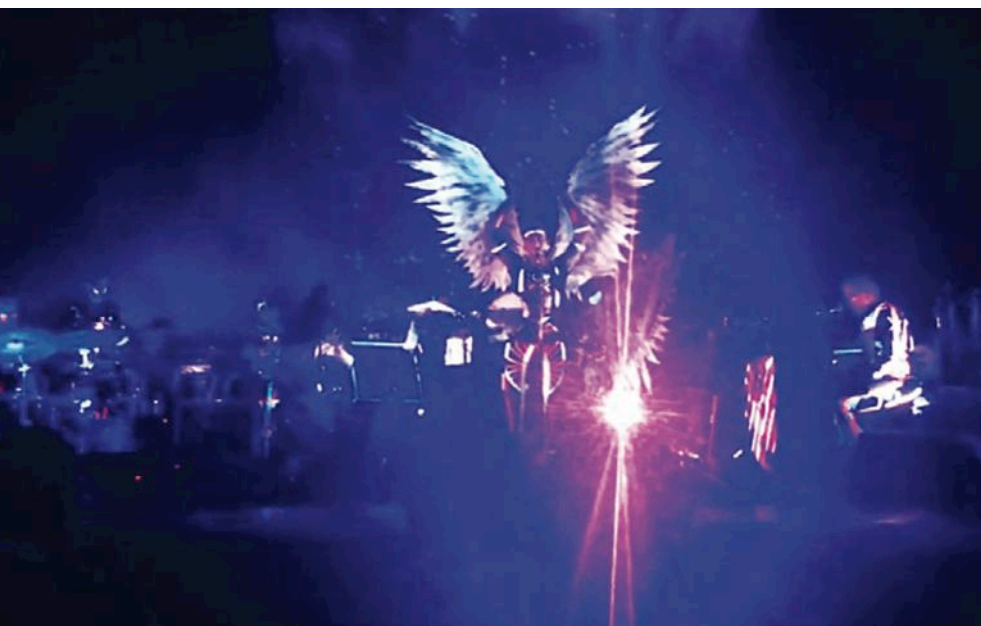


siadowały przetworzone wokale („Rake”), elementy orientalne („Leil”), a nawet free jazz („Satan’s Saxophones”). Stevens śpiewał, grał na większości instrumentów, ale też pełnił rolę narratora, który dziecięcym głosem opowiada o operacji rozłączenia zrośniętych głowami bliźniąt syjamskich („Siamese Twins”) i o wychodzącej pępek treści żołądka („Belly Button”). Brzmi koszmarnie, ale pod względem muzycznym przyciąga uwagę.

Drugi album – „Enjoy Your Rabbit” – to już ukłon w stronę brzmień komputerowych. Jest trochę wokalu, ale dominują motywy kojarzące się bardziej z Philipem Glassem niż popową elektroniką spod znaku Eurythmics.

Dziś obie płyty to pozycje dla zagorzałych fanów Stevensa, pragnących mieć w domowych zbiorach wszystkie jego dzieła. Dopiero bowiem albumem „Michigan” (2003) artysta objawił się słuchaczom jako w pełni dojrzały kompozytor, multiinstrumentalista i wykonawca.

Aby jeszcze bardziej docenić ten fakt, warto dodać, że Sufjan Stevens, urodzony w 1975 roku w tytułowym stanie – w chwili wydania trzeciej płyty miał dopiero 28 lat. Ale przydało się muzyczne wychowanie i krótka przygoda z obojem, od której rozpoczął muzyczną edukację. W podstawówce było tylko jedno miejsce w szkolnej orkiestrze i jedynie ten instrument nie był obsadzony. Gdy mama Stevensa go zamówiła i wreszcie dotarł, chłopiec był zaskoczony, ale nauczył się grać. I tak się zaczęło. Dzisiaj gra na wielu instrumentach. Dlatego „Michigan” to niemal symfoniczne brzmienia, dopracowane do ostatniego szczegółu. Nie ma tu chybionych fragmentów, a wszystkie utwory wiążą się w miernie skonstruowaną całość.



Pełny tytuł wydawnictwa to „Pozdrowienia z Michigan, stanu Wielkich Jezior”. Mimo że Stevens zrezygnował tym razem z makabryczno-groteskowych tematów, nie omieszkał trochę ponarząć. Zna bowiem doskonale nurtujące mieszkańców problemy. Sam pochodzi z niezamożnej rodziny i w Detroit, stolicy Michigan, się wychował. Śpiewa o bezdomnych, bezrobotnych i biednych, o potrzebach związanych z rozbudową miasta, a także o tym, co go najbardziej intryguje, czyli o życiu, starzeniu się i umieraniu. Przyznaje, że mroczne strony istnienia najbardziej go inspirują. Czyżby więc znalazł się tutaj, aby się wszystkiego o nas dowiedzieć? Faktem jest, że wyobraźnię ma nie z tej ziemi. Niby twierdzi, że czytał niemal wszystko, czego wymagali wykładowcy w ogólniaku i na uniwersytecie, ale kto go tam wie? W końcu nastoletni chłopcy rzadko sięgają po Tolstoja i Steinbecka. Może książek tych autorów wcale nie miał w ręku, tylko przed przybyciem na naszą planetę wszczepiono mu literacką wiedzę? Z innej planety czy nie, jest artystą oryginalnym. Jeśli się zbytnio nie wśluchiwać w dołączające miejscami teksty, to muzyczne nastroje „Michigan” są pozytywne. Jest tam nawet jeden utwór o miłości („Holland”) – temacie rzadko u niego obecnym. Płyta miała być początkiem cyklu albumów o amerykańskich stanach. A że jest ich 50, zapowiadał się niezły serial. Niektórzy myśleli, że to żart, jednak gdy album „Michigan” ukazał się na rynku, uwierzono, że wykonawca zmierzy się z karkołomnym zadaniem. Tym bardziej, że dwa lata później do sklepów trafił „Illinoise”. To właśnie ten krążek przyniósł Stevensowi największy rozgłos. Był bowiem najlepiej ocenioną przez krytyków amerykańską płytą 2005 roku, umieszczoną na liście największych muzycznych osiągnięć dekady.

Niektórzy zapewne już zauważyli, że nazwa stanu jest napisana z błędem. To wynik poczucia humoru autora i jego znajomości historii glam rocka. Dwa lata przed narodzinami Sufjana światowym hitem był utwór „Cum On Feel the Noize” grupy Slade. Kompozytorzy zespołu, Jim Lea i Noddy Holder, większość tytułów piosenek pisali z błędami. Stevens żartobliwie nawiązał do przeboju Slade, dodając literę „e” do nazwy stanu.

Teksty utworów dotyczą historii, kultury i geografii Illinois, jak również osób związanych z tym stanem. Ale nie tylko słowa piosenek się podobały. Zwrócono uwagę na profesjonalne aranżacje i udane melodie. Nagrania okazały się lepsze

od tych z „Michigan”. Nawet okładka została zauważona, chociaż pomogły w tym problemy z uzyskaniem zgody na umieszczenie na niej wizerunku Supermana. W pierwszych egzemplarzach winylu latający bohater był zalepiony, a na kompaktach zastępowała go biała plama. Dopiero później komiksowa postać zagościła tam na dobre. Z płyty „Illinoise” pochodzi hit „Chicago”, najczęściej wywoływany przez warszawską publiczność. Stevens długo jednak zwlekał z jego zaprezentowaniem i zrobił to dopiero na bis. Tak samo było z jedynym polskim akcentem w dorobku piosenkarza – utworem „Casimir Pulaski Day”. Dzień Kazimierza Pułaskiego Amerykanie obchodzą w pierwszy poniedziałek marca, najbardziej uroczyste właśnie w Illinois, na pamiątkę urodzin bohatera wojny o niepodległość USA. Stevens wykonywał ten utwór, będąc już w stroju prywatnym – w spodniach i bawełnianej



koszulce. On i pozostali artyści zdążyli się przebrać, gdy rozentuzjasmowana publiczność, doceniając wysoki poziom koncertu, oklaskiwała ich przez kilkanaście minut bez przerwy. Tak niezwykłego widowiska nie spodziewali się chyba nawet melomani znający cały dorobek Stevensa.

Wszystko zaczęło się od „Siedmiu łabędzi” – piosenki z albumu pod tym samym tytułem (2004). Jedenastu muzyków cicho weszło na scenę i kiedy rozbrzmiały już pierwsze takty, za plecami lidera i dwóch wokalistek rozpostarły się potężne łabędzie skrzydła. Efekt był niesamowity. Muzycy mieli na sobie stroje rodem z fantastyki filmowej, a widniejące na nich ornamenty rozświetlały się w trakcie koncertu. Jakby tego było mało, nad estradą rozwieszono olbrzymi ekran, na którym wyświetlano olbrzymie obrazy, głównie autorstwa Roya Robertsona (1936-1997),

cierpiącego na schizofrenię samorodnego artysty. Stevens jest zafascynowany jego twórczością. Podkreślał to, zapowiadając kolejne piosenki.

Na komiksowych rysunkach Robertsona przeważają przybysze z kosmosu, choć nie brakuje kobiet o seksownych, nieco wyolbrzymionych kształtach, a także futurystycznych pojazdów. Robertson był szczęśliwie ożeniony z Adell Brent, z którą miał 11 dzieci. Po 19 latach małżeństwa żona odeszła z innym mężczyzną. Wtedy malarz plakatów i przyszły artysta zaczął wierzyć, że jest ofiarą światowej feministycznej konspiracji. W swoich paranoicznych wizjach podróżował w przestrzeni kosmicznej, gdzie obcy zapowiadali koniec naszego świata. Stevens przypadkiem trafił na dzieła artysty i został jego fanem. Prace Robertsona zdobią okładkę albumu „The Age of Adz”. „Adz” to topór ciesielski –

narzędzie do rzeźbienia w drewnie, którym posługiwał się Royal Robertson.

W programie warszawskiego koncertu przeważały najnowsze utwory Sufjana. Nie widziałem jeszcze „The Age of Adz” w naszych sklepach, tymczasem widowie znali płytę na pamięć i śpiewali razem z wykonawcą (kolejny dowód oddziaływania Internetu). Wydaje się, że to najbardziej popowy krążek ze wszystkich, które Stevens nagrał. Dlatego nie wszyscy fani od razu go zaakceptowali. Zbliżony jest trochę do twórczości Prince’a, choć

nadal z folkową domieszką, zwłaszcza w partiach wokalnych. Dominuje porywający, rytmiczny pop. Charakterystyczne, że jego twórca niechętnie się tym chwali. W wywiadzie dla „Vanguard” skromnie stwierdził, że jest jedynie muzycznym gawędziarzem o słabym głosie. Niech sobie mówi, co chce, ale publiczność w Teatrze Polskim wiedziała swoje. Nic dziwnego, że muzycy wychodzili z siebie, a dwie wokalistki tańczyły na scenie. Stevens sterował ich ruchami, wymachując rękoma jak zaprogramowany do tańca robot.

Kompozycja „Too Much” wypadła wręcz genialnie. Nikt nie mógł przy niej spokojnie usiedzieć, dlatego cała widownia ruszyła do tańca. Podobnie było z innymi hitami z tego albumu.

Przed „The Age of Adz” wykonawca wydał jeszcze cztery płyty. Rok po „Illinoise” powrócił do tematów z tego albumu na krążku „Avalanche” (2006). Znalazły się na nim niepublikowane nagrania z sesji. W 2006 roku muzyk postanowił też pogodzić się ze świętami Bożego Narodzenia, których dotąd nie obchodził. Wydał album okolicznościowy, złożony nie z jednej, ale aż z pięciu płyt. Wszystkie

w zdobionym pudełku, z tekstami, rysunkami, akordami do samodzielnego grania, a nawet z krótką świąteczną kreskówką. No proszę! Przeciwnikowi choinki udało się w świątecznym boksie utrwalić bożonarodzeniowy nastrój. Na nieco inną nutę, jak to zwykle bywa w przypadku istoty „stamtąd”, ale przecież tego należało się spodziewać.

I wreszcie dokonania instrumentalne. Ich kwintesencją jest film „The BQE”, będący relacją z muzycznej podróży autostradą prowadzącą z Brooklynu do Queens (Brooklyn-Queens Expressway). Stevens zrealizował film i wplótł do niego muzykę na zamówienie Brooklyn Academy of Music. Skomponował też i zagrał muzykę do debiutanckiego obrazu Natalie Portman. Czy nagrałby kolejny soundtrack? Twierdzi, że raczej nie, ale dodaje, że gdyby Cassavetes lub Kiesłowski ożyli, to by się zastanowił. Dziwne. Niby przybysz z innej galaktyki, a zna naszego reżysera. Jak to obcy dobrze szkoła! Stevens podobno umie nawet szydełkować i sam robi sobie czapki. Taki zdolny!

Warszawski koncert okazał się wydarzeniem. Rzadko się trafia coś takiego

i jeżeli ktoś się nie wybrał – niech żałuje. Płyty nie oddają w pełni scenicznych pomysłów rodzących się w głowie kosmity z Brooklynu. Chociaż też słucha się ich z przyjemnością. Dlatego jeśli ktoś jeszcze nie miał okazji zapoznać się z twórczością Sufjana Stevensa, powinien to zrobić od razu. W Polsce dostępność jego płyt jest ograniczona, więc trzeba trochę poszukać. Trud związany z dotarciem do nich w pełni zrekompensuje muzyka. ■

Podstawowa dyskografia:

- 2000 **A Sun Came**
- 2001 **Enjoy Your Rabbit**
- 2003 **Michigan**
- 2004 **Seven Swans**
- 2005 **Illinoise**
- 2006 **The Avalanche: Outtakes and Extras from the Illinoise Album**
- 2006 **Songs for Christmas**
- 2009 **The BQE**
- 2010 **All Delighted People (EP)**
- 2010 **The Age of Adz**



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Sponsor premiery



Partner



Patroni medialni:



KAROL SZYMANOWSKI

Król Cogget

Kaspszy K / pountney | premiera 1/07/2011, KoLeJne prze Dsta Wlenia : 3, 5/07/2011